Adres Administracyi Taternika: Józef Premik, Kraków, Kochanowskiego 10.

Rok VIII. Kraków, 1. lipca 1914. Nr. 2.

Członkowie Sekcyi Turystycznej T. T. otrzymują czasopismo bezpłatnie.

TATERNIK

Prenumerata wynosi: 4·80 K., (2 rub., 4 M.) rocznie z przesyłką

Organ Sekcyi Turystycznej Towarzystwa Tatrzańskiego.

Wychodzi sześć razy do roku pod redakcyą komitetu.

Adres Redakcyi: Mieczysław Świerz, Kraków, Dębniki Rynek 4.

Prenumerata dla Członków Towarzystwa Tatrzańskiego wynosi 3 kor.





TATERNIK.

Rok VIII. Kraków, 1 lipca 1914. Nr. 2.

KAZIMIERZ PIOTROWSKI.

Żelazne Wrota w zimie.

Gdy latem lub zimą po szarych, słotnych dniach nastanie jasna, pewna pogoda, gdy przed oczyma naszemi lub też oczyma naszej wyobraźni zajaśnieją w potokach złotego słońca skąpane, ciszą błękitów otulone Tatry, wtedy zazwyczaj mówimy sobie, że oto właśnie czas iść w góry; ogromna większość naszych wycieczek jest zazwyczaj wynikiem pewnego przystosowania się do warunków atmosferycznych, znikoma mniejszość rodzi się w uczuciu nieodpartej tęsknoty do gór, istotnej potrzeby zerwania choćby na parę dni łańcuchów codziennych naszych zajęć, w pragnieniu swobody, którą tak często można znaleźć tylko daleko od ludzi na skalnych, słonecznych graniach. Te drugie, tak niestety nieliczne wycieczki szczególnie wyraźnie zwykły się rzeźbić w naszych taternickich wspomnieniach, jakby na świadectwo prawdzie, że one to tylko, powstałe z głębin naszego do gór sentymentu mają trwałe i jedyne prawo bytu.

Cudownie pięknej zimy b. r. wiele snułem planów wypraw w góry śnieżną pokryte szatą; niektóre z nich danem mi było wykonać wśród niezwykle pomyślnych warunków atmosferycznych, które w styczniu i lutym pozwalały robić wycieczki w samą głąb Tatr przy doskonałym do jazdy na nartach, a wcale nie lawiniastym, śniegu. Drogi moje prowadziły ubie-

głej zimy przeważnie wysokiemi przełęczami w głównym łańcuchu Tatr; na jednej z takich wycieczek, przy przejściu ze Szmeksu do Zakopanego przez Przełęcz Lodową, powstał projekt powrotu na węgierską stronę również jakąś przełęczą. I wtedy to patrząc z Przełęczy Lodowej na lśniący w słońcu daleki łańcuch górski, rozwieszony pomiędzy Zmarzłym Szczytem a Gankiem, zamarzyliśmy o przejściu śnieżnych podwoi Żelaznych Wrót. Między owym dniem, a dniem realizacyi naszego projektu upłynąć jeszcze miały długie tygodnie, spędzone wśród murów miejskich. Niezwykle trwała, pewna pogoda ostrzegała nas każdego ranka słonecznym znakiem, pukającym do szyb naszych mieszkań, że to może już ostatnie piękne dni, radziła korzystać z chwili. Wreszcie tęsknota za górami i swobodą zerwała więzy naszych codziennych zajęć i nie czekając na sakramentalną niedzielę, uciekliśmy chyłkiem, każdy z osobna do Zakopanego.

Po bezskutecznych próbach pozyskania towarzysza wyjechałem z Krakowa sam jeden nie zabrawszy nawet nart, które wobec długotrwałej pogody i spodziewanej szreni uważałem za zbyteczne. Cudowny ranek następnego dnia zastał mnie wprawdzie zdecydowanego na samotną wycieczkę, ale pogrążonego w niezbyt różowem usposobieniu: czekająca mnie długa droga gościńcem do Roztoki, gdzie miałem zamiar noc przed wycieczką przepędzić, a w dodatku gnębiąca zmora samotności, której może nigdy tak bardzo się nie odczuwa jak w zimie, gdy oko i myśl gubi się w bezkresnych, białych oddalach — sprawiały, że mimo kryształowej pogody niezbyt wesoło mi było na sercu. Rozpogodziłem się dopiero, gdy po dłuższych telefonicznych pertraktacyach, uzyskałem od Włodka M. obietnicę przyjazdu wieczornym pociągiem.

Mając przed sobą jeszcze cały wolny dzień, postanowiłem go obrócić na mały spacer informacyjny. Parę miłych godzin spędziłem na zacisznej Hali Gąsienicowej grzejąc się w słońcu i próbując wytrzymałości śniegu; próby wypadły tak dalece niepomyślnie, że wywołały poważne obawy co do powodzenia naszej imprezy. Uwolnił mnie od nich dopiero widok Włodka, objuczonego dwiema parami nart, które wiedziony trafną intuicyą zabrał z Krakowa. Dawszy burzliwy wyraz naszej obopólnej radości ze spotkania, uzupełniamy na prędce zapasy, zamawiamy furkę, poczem w skromnych pokoikach A. Z. S. układamy się na parę godzin snu.

Na zegarze kościelnym bije właśnie druga, gdy obładowani workami i nartami wybiegamy w uśpione ulice Zakopanego w poszukiwaniu za zamówionymi końmi. Wkrótce potem mkniemy szybko na saniach drogą ku Jaszczurówce. Mijają nas białe polany, migocące iskierkami drobnych kryształów śnieżnych, lśniących jak brylanty w księżycowem świetle, powoli wznosimy się na wyniosłość Cyhrli, by zaraz potem zapaść w posępny mrok Capowskiego lasu. Upaja nas rozkoszna jazda, raz po raz spoglądamy jednak z niepokojem ku zachodowi; drobne, przejrzyste mgiełki wysuwają się z za konturów Zachodnich Tatr i chowają za siebie księżyc, kładąc mu na głowę ogromną lisią czapę. Gdy dojeżdżamy na Łysą Polanę,

już prawie całe niebo jest niemi pokryte. Obawa przed grożącą zmianą pogody opanowuje nas niepodzielnie i nie pozwala nam zjeść spokojnie zgotowanego na prędce śniadania w gościnnej leśniczówce pana Sitarza. Świta już, kiedy siadamy znów do sanek, by podjechać do Roztoki, skąd miała się zacząć nasza właściwa wędrówka. Koło śpiących pod lodową powłoką Wodospadów Mickiewicza rozłączamy się z naszymi końmi i za chwilę jesteśmy sami wśród kochanych naszych gór. Mroźne, ożywcze powietrze, lekki wietrzyk wschodni, niebo oczyszczające się z mgieł dodają nam otuchy; z uczuciem ulgi prostujemy nogi zmęczone długiem siedzeniem w sankach, z radością przypasujemy narty, ściskamy sobie serdecznie dłonie „na szczęście“ i ruszamy w drogę. Parę minut męczącej jazdy opornej po zlodowaciałej ścieżce leśnej do Roztoki nagradza nam sowicie swobodny zjazd wyrębem leśnym po pysznym, puszystym śniegu. Koło schroniska znajdujemy liczne ślady nart; idąc za nimi przekraczamy znany dobrze taternikom płot, w chwilę później ostrym marszem posuwamy się dobrze ubitą drożyną w głąb doliny. Tymczasem ostatnie drobne mgiełki ustąpiły — nad głowami naszemi rozciąga się przeczyste, ciemno-szafirowe niebo, przybierające od wschodu coraz to bardziej złotą barwę; wreszcie z za wyniosłego muru skalnego tryskają pierwsze promienie słońca i migotliwemi plamami stroją drzewa, okryte śnieżną okiścią. Podziwiamy obaj niezwykły rodzaj śniegu skrystalizowanego na powierzchni w ogromne srebrzyste tarcze i łuski, tak wielkie, jakich nigdy nie zdarzyło mi się spotkać, a błyszczące w słońcu niezrównaną grą kolorów.

Droga do Polany pod Wysoką upływa nam nadspodziewanie szybko i przyjemnie dzięki spotkaniu sanek i znajomego górala z Łysej, który nam przewiózł worki i narty; na ostatnim zakręcie drożyny odsłania się nagle, dotąd przez las zazdrośnie skrywany, widok wyniosłego kotła Kaczej. Z niepokojem śledzimy ślady zamierzonej drogi; pierwszy pogląd wypada zgoła niekorzystnie — potężny próg doliny przerwany terasem Zielonego Stawu wygląda jak jednolity mur; jego niezwykła stromość, a zwłaszcza lód błyszczący wielkiemi płatami wywołuje dyskusyę, czy nie lepiej by było dać narty na przechowanie góralowi, a powierzyć się tylko kolcom raków. Po krótkiej naradzie decydujemy się na zabranie nart.

Na Polanie pod Wysoką miła niespodzianka: z szałasu bucha gęsty dym; w trwożnem oczekiwaniu, że lada chwilę wychyli się z za drzwi niemiecki „Jaeger“, a z nim konieczność obchodzenia dalekiemi drogami przez Świstową Dolinę, skradamy się możliwie najciszej ku potokowi. Właśnie mijamy szałas, gdy otwierają się wrota i paru miłych i gościnnych, więc widocznie zakopiańską kulturą jeszcze nie tkniętych górali zaprasza nas uprzejmie do wnętrza. Poczęstowani mocną wódką spędzamy przy cieple jasnej watry miłe chwile na rozmowie i posiłku.

Słońce stojące już wysoko na niebie, oraz świadomość krótkiego dnia nie pozwalają nam jednak przeciągać pogawędki za długo — przypinamy więc wkrótce narty i pogrążamy się w las, mniej więcej w kierunku letniej

ścieżki do Zielonego Stawu. Im dalej w las, tem głębszy śnieg: toniemy nieraz wyżej kolan, zapadamy po wykrotach w najrozmaitsze dziury, groźne dla całości naszych nart, lawirujemy między powalonemi pniami, miejscami schodkując lub też zjeżdżając z małych pagórków „strzałą“ kończącą się nieraz bliższem zetknięciem z puszystym, bardzo zresztą przyjemnym śniegiem. „Coby to było, gdybyśmy nie mieli nart“ — ta myśl pociesza nas nieco i zmniejsza gwałtowność naszych przekleństw. Po trzech kwadransach takiej mordęgi wychodzimy wreszcie na niezalesione zbocze, przecinamy je długiemi serpentynami i po pokonaniu na butach kilkudziesięciu metrów zlodowaciałej szreni wkraczamy na powierzchnię zalanego białem światłem jeziora. Cisza i spokój tutaj nieopisany; ranny wiatr, który jeszcze przed chwilą na zaśnieżonych graniach wygrywał swoje poranne hejnały, zdmuchując tumany lotnego śniegu, teraz ustał — pionowy próg zamykający nam drogę do Kaczej pogrążony jeszcze w cieniu tworzy gwałtowny kontrast z jasnem obliczem śnieżnego jeziora. W dole leży cicha, w ramiona skalnych, postrzępionych turnic ujęta Dolina Białej Wody, a za nią otwiera się nieporównany widok w daleki bezkres polskiej równiny, jak okiem sięgnąć białej, słonecznej, uśmiechniętej. Całą duszą wchłaniamy ten zaklęty czar zimowego poranka; wzrok nasz zatopiony w jasnych dalach zwraca się jednak coraz częściej i niespokojniej ku mrocznej ścianie, zamykającej nam drogę. Z wytężeniem szukamy najlepszej drogi w tym labiryncie prostopadłych prawie żlebków i zlodowaciałych kaskad, łączymy w myśli poszczególne fragmenty zamierzonego wyjścia w jednolitą całość. Tonąc głęboko w śniegu, podchodzimy ciągnąc za sobą narty pod samą ścianę progu, wiążemy się liną i pniemy się zwolna środkowym żlebkiem aż do miejsca, gdzie przewieszające się i grubą warstwą lodu pokryte skały każą nam zboczyć na lewo. W twardej szreni bijemy kilkadziesiąt stopni, wyprowadzających nas rodzajem eksponowanego lodowego zachodziku na małe, łagodnie nachylone pólko; stąd zupełnie już lekko osiągamy krawędź progu i ucieszeni stosunkowo łatwem zwycięstwem zasiadamy do dobrze zasłużonego posiłku. Dość silny mróz i konieczność pośpiechu wypędzają nas jednak zaraz w dalszą drogę. Zmarznięty porządnie, nie bez podziwu patrzę jak mój towarzysz gołemi rękami dokonuje tajemniczych manipulacyi na małym aparacie fotograficznym, wreszcie zniecierpliwiony idę naprzód. Byłem już dobrze wysoko na zboczu wiodącem do ujścia żlebu spadającego ze Wschodniej Przełęczy Żelaznych Wrót, gdy z za małej buli, daleko poza mną wychyliła się zgarbiona ciężarem worka postać męczennika sztuki fotograficznej.

Objuczeni nartami pociągającemi nas za każdym krokiem niemiłosiernie w tył, stajemy po dobrej godzinie drogi u wejścia do wspomnianego żlebu; niezbyt wysoko ponad nasze głowy wzniesione siodełko przełęczy, skały ponad niem oblane złotem, popołudniowem światłem, oznaczają blizki koniec trudów. Miękki i puszysty śnieg przechodzi w miarę naszego posuwania się ku górze w coraz to twardszą szreń, aby wreszcie kilka już tylko

metrów poniżej siodła zmienić się w jednolity lodowy pancerz. Nawiany zachodnimi wiatrami śnieg układa się tutaj w prawie zupełnie pionową ściankę z lodu; kopiąc głębokie stopnie dla nóg, a ręce opierając na chwytach utworzonych przez czekan wynurzam się nareszcie z mroku i staję na przełęczy tonącej w potokach słońca.

Znam dobrze z wycieczek letnich to niezwykle miłe wrażenie, gdy po długiej wędrówce ponurą ścianą wyjdzie się na słoneczną skalną grań — nigdy jeszcze jednak w tym stopniu go nie zaznałem jak teraz, gdy usiadłszy na wązkiej przełęczy, spoglądałem w otwartą szeroko przestrzeń niziny węgierskiej. Z pod nóg uciekło mi strome zbocze ku białej obecnie Dolinie Złomisk i widniejącemu w dali Popradzkiemu Stawowi, nad głową zawisło przeczyste fioletowe niebo — cisza słodka i kojąca ogarnęła mnie swemi dobroczynnemi skrzydłami i pozwoliła na krótką chwilę zapomnieć o wszystkiem, co nie jest śniegiem i powietrzem, słońcem i błękitem. Wreszcie odgłosy kroków Włodka zburzyły nastrój beztroskiej kontemplacyi i zmusiły myśl moją do zajęcia się bardziej realnemi sprawami wycieczki. Późna godzina popołudniowa i słońce zbliżające się ku łańcuchowi Baszt, skłoniły nas do natychmiastowego zjazdu — zjeżdżam więc jako pierwszy stromym spadkiem po dobrze trzymającym, choć nieco rozmiękłym śniegu: kilkadziesiąt metrów jazdy poprzecznej, potem parę krótkich ostrych łuczków, w końcu rozkoszny lot zniósł mnie długiemi zakosami na dno kotliny. Po chwili jesteśmy znów razem, mijamy prędko stopień dzielący nas od Zmarzłego Stawu i w ostrym biegu wyjeżdżamy na powierzchnię jeziorka, pokrytego skorupowatą szrenią; następuje kilka minut szybkiego chodu po równinie, poczem znowu niosą nas narty labiryntem małych żlebków i wąwozów z buli na bulę, coraz to niżej ku Popradzkiemu Stawowi. Z napiętą uwagą lawirujemy wśród gęstniejącego mroku między kamiennymi ostrowami i wysepkami suchej, zmarzniętej ziemi; narty skaczą poprzez fantastyczne wyboje, drobne nawisy, ześlizgują się z lodowych wodospadów. Wreszcie z sykiem suchego śniegu sunę przez pólka kosówki i rzadkiego lasu. Jest już zupełna noc, a ponad nami rozciąga się czarne niebo usiane milionem gwiazd migocących żywo w chłodnem powietrzu, gdy zatrzymujemy się po wytrwałej jeździe gdzieś blizko już brzegu jeziora, by zapalić latarki. Przy ich świetle wynurzamy się z kosówek na okrągłe, wielkie pole — to staw. Nieśmiała nadzieja szepce nam do ucha, że może znajdziemy w schronisku jakich zabłąkanych turystów zimowych, prowadzi nas ku północnemu brzegowi. Wkrótce wychyla się duży dom, schowany dotąd na tle czarnego lasu, niestety zupełnie zamknięty; głucho zabite okiennice i śnieg nienaruszony przed wejściem, świadczą, że ludzie tu jeszcze tej zimy nie gościli. Blizko schroniska znajdujemy jednak liczne ślady nart, krzyżujące się gęsto i wybiegające w różnych kierunkach na jezioro, w okolicy zaś letniej ścieżki natrafiamy na ogromne dziury po karplach. Odbywamy małą naradę, w której decydujemy się zdjąć narty ślizgające się po twardym śniegu i schodzić śladami karpli. Istotnie idzie się po nich

wcale dobrze, jakby po stopniach, utworzonych z odtajanego, a potem przymrożonego śniegu — często jednak noga postawiona w pośpiechu nieco za blisko, lub za daleko, łamie kruchą powłokę calizny śnieżnej i wtedy przy akompaniamencie gwałtownych przekleństw zapadamy się w głębokie dziury. Po pół godziny takiego pochodu, spoczynek i herbata zagotowana przy świetle latarki na małej polance, poczem znowu zbiegamy jak można najprędzej, w dół doliny, usiłując trzymać się kierunku letniej ścieżki, wiodącej zboczami Baszty do Szczyrby. Ślady nasze prowadzą jednak ciągle w dół, nadto krzyżują się z innymi, na co reagujemy kompletną dezoryentacyą i chaotycznem dość błąkaniem się po lesie. Po długiem chodzeniu tam i z powrotem i parokrotnem odkrywaniu „zupełnie dobrej“ ścieżki, która zawsze po paru minutach okazywała się pospolitym humbugiem, uświadamia nam się nareszcie cały nonsens tej wędrówki. Zostają dwie możliwości: albo posuwając się wciąż w dół dojść do gościńca między Hagami a Szczyrbą, co nie uśmiecha się nam ze względu na twardą skorupę śnieżną, nie pozwalającą zwłaszcza po nocy opanować nart, a łamiącą się pod ciężarem butów, albo — biwakować.

Do narady naszej przyłącza się wkrótce księżyc, który tymczasem wychylił się z za profilu Osterwy i zalał las bladem światłem — jasna noc księżycowa zachęca wprawdzie do dalszej wędrówki, z drugiej strony rozmarza nas jednak tak dalece, że nie bacząc na niezbyt zresztą dokuczliwy mróz, postanawiamy nocować pod gołem niebem; wyszukujemy małą, wolną od śniegu kępę, ubieramy się jak najcieplej, kładziemy nogi do worków i przytuleni do siebie pozwalamy swobodnie biedz naszym myślom, pełnym zachwytu dla majestatycznego świata gór, w którego sercu danem nam było spędzić tę niezapomnianą noc. Znużenie skleja nam wkrótce oczy, zasypiamy twardym, ale krótko trwającym snem.

Prędko biegną godziny. Już księżyc zaszedł za grań Baszt, a wschód różowić się poczyna; przejrzysty, drgający od nocnych oparów świt wisi w rannem, ożywczem powietrzu.

Dla nas jest on hasłem powrotu. Zrywamy się szybko z naszego niewygodnego posłania, gotujemy herbatę, wdziewamy narty i razem z pierwszymi promieniami słońca przebiegamy jak wicher dolinę, unosząc ku widnym w dali nizinom niezatarte wspomnienie naszej wycieczki, oraz spory zapas radości życia, zaczerpniętej w wieczystej krynicy przyrody.

Wycieczki członków Sekcyi Turystycznej w r. 1913.

(Objaśnienie: Nazwy poprzedzone gwiazdką * oznaczają wycieczki z przewodnikiem, inne bez przewodnika; „prz“ = przejście oznacza zwiedzenie szczytu odmiennemi drogami w wyjściu i zejściu; „Z“ oznacza wyjście zimowe nie na nartach w czasie od 1. grudnia do 30 kwietnia; „N.“ wycieczkę narciarską; „sam“ wycieczkę samotną; kreska — łączy wyjścia jednego dnia dokonane; „pn.“ = północny, „pd.“ = południowy; „wsch.“ = wschodni; „zach.“ = zachodni).

Chmielowski Janusz, Petersburg: Aiguille de l' M — Aiguille des Petits Charmoz, Aiguille des Grands Charmoz, Tête de Trélaporte, Grand Clocher de Planereuse, Petit Clocher de Planereuse, Col du Géant (prz.), Dent du Géant.

Kordys Roman dr. Lwów: W Karpatach Wschodnich: I. prz. zimowe łańcucha Karpat od Sławska po Körösmezö w 6 dniach (N.; I. w. z. na Czarną Repę, Jajko Lolińskie, Wysoką, Ihronyszcze, Sywulę); w Tatrach: Kosista — Zawrat; w Alpach Sarntalskich: Rittnerhorn (dwukrotnie) — Kassianspitze — Plankenhorn — Gaishorn (sam); w Dolomitach: Toblinger Knoten, Grosse Zinne, Altensteinspitze, Zwölferkofel (Eisrinne), Giralbajoch, Cridola (pd. śc.), Forcella del Campanile — Forcella Montanaia, Euringerspitze (pd. śc.). Schlern; w grupie Ortlera: Madritschspitze — Butzenspitze — Eisseespitze, Eisseespitze (N.) — w grupie Texel: Roteck — Texelspitze — Blaulachenspitze — Kreuz, Lodner (pd. śc.) — Hoheweissscharte — Kleinweissscharte; w Alpach Münstertalskich (grupa Ofenpass): Schadler — Rimsspitze — Piz Cristaunes (sam); Piz Sesvenna — Piz Forratrida — Fernerspitze — Follerkopf (sam).

Piotrowski Kazimierz, Kraków: Kasprowy (N.), Zawrat (N.) — Zawratowa Turnia (Z.) — Żółta Turnia (N.), Koło — Walentkowa Przełęcz (prz.) — Liliowe, Aiguille de l' M — Aiguille des Petits Charmoz, Aiguille des Grands Charmoz, Tête de Trélaporte, Grand Clocher de Planereuse, Petit Clocher de Planereuse, Col du Géant (prz.), Dent du Géant, Kościelec (prz.) — Mylna Przełęcz, Zawrat (prz. N.).

Prażmowski Tadeusz, Kraków: Wierch pod Fajki (prz.), Mylna Przełęcz (od Zmarzłego) — Zawratowa Turnia — Niebieska Turnia (wsch. gr. prz.) — Gąsienicowa Turnia — Świnica, Zawrat — Świstówka, Kozia Przełęcz (prz.) — Przełęcz w Miedzianem, Rysy (prz.) — Czeski Szczyt (granią od Wagi), Ganek, Rumanowa Przełęcz, Koprowa Przełęcz — Zawory — Liliowe, Żabi Koń (wsch. gr. — płd. ściana) — Żabia Przełęcz (prz.), Przełęcz pod Kopą (prz.), Lodowa Przełęcz (prz.), Mała Buczynowa Turnia (II. w. pn. śc. częściowo nowa droga), Kasprowy (N.), Goryczkowa Przełęcz Świńska (N.).

Rapf Feliks, Lwów: Świnica (pn.-wsch. śc.) — Gąsienicowa Turnia — Niebieska Turnia — Zawrat, Mnich, Rysy — Czeski Szczyt (gr. od Wagi) — Wysoka (prz.), Świstówka — Zawrat.

Ritterschild Zdzisław, Przemyśl: Grań Hrubego, Howerla (N.), Pietros (N.), Gutin Tomnatik (N.), Cerbul (N.), Ineul (N.), Gargaleu (N.), Iliolu (N.), Cisia (N.), Omului (N.), Trościan — Ilsa (N.).

Schiele Aleksander, Wiedeń: Długi Upłaz (N.), Iwaniacka Przełęcz (N. prz.), Tiroler Kogel (N.) — Kalte Kuchel (N.), Kamp (N.), Schneiderkogel (N.), Wechsel — Grosser Pfaf (N.), Pretulalpe (N.), Pinckerkogel — Kampalpe (N.), Kitzbüchelhorn (N.), Hochetzkogel — Stuckkogel — Kornstein — Pfeifferkogel (N.), Ehrenbachhöhe (N.). Pengelstein (N.), Schneeberg (3-krotnie N.), Gamsleitenspitze (N.), Seckarspitze (N.), Giewont, Świnica, Kozi Wierch, Gładka Przełęcz — Liliowe (prz.), Przełęcz pod Chłopkiem (prz.), Kopa Popradzka — Czeski Szczyt — Wysoka (I. całkowite prz. grani od K. P.). Mięguszowiecki Środkowy — Mięguszowiecki (gr.), Niebieska Turnia — Gąsienicowa Turnia (2-krotnie), Kościelec (prz. gr.) *Śnieżna Przełęcz (prz.) — Śnieżny Szczyt, *Durny (gr. od Baraniej Przełęczy) — Poślednia Turnia — Łomnica, *Czerwona Ławka (prz.) — Ostry Szczyt (dr. Häberleina, przejście całej rysy, zejście na Białą Ławkę), *Rohatka (prz.), Goryczkowa Przełęcz (prz.), Tomanowa Przełęcz (prz.), Planspitze (pn. śc.), Gr. Buchstein (zach. grań), Raxalpe (N.), Schneeberg (N. 2-krotnie), Schlalnunger Keilbling (N.), Gasselhöhe (N.).

Schiele Kazimierz, Wiedeń: Długi Upłaz (N.), Iwaniacka Przełęcz (N. prz.), Tiroler Kogel — Kalte Kuchel (N.), Kamp (N.), Schneiderkogel (N.), Wechsel — Grosser Pfaf (N.), Pretulalpe (N.), Pinckerkogel — Kampalpe (N.), Kitzbüchelhorn (N.), Hochetzkogel — Stuckkogel — Kornstein — Pfeifferkogel (N.), Ehrenbachhöhe (N.), Pengelstein (N.), Schneeberg (N. 3-krotnie), Gamsleitenspitze (N.), Seckarspitze (N.), Giewont, Świnica, Kozi Wierch, Gładka Przełęcz — Liliowe (prz.), Mięguszowiecka Przełęcz pod

Chłopkiem (prz.), Kopa Popradzka — Czeski Szczyt — Wysoka (I. całkowite prz. gr. od K. P.), Mięguszowiecki Środkowy (gr.), Niebieska Turnia — Gąsienicowa Turnia (2-krotnie), Kościelec (prz. gr.), *Śnieżna Przełęcz (prz.) — Śnieżny Szczyt, *Durny (gr. od Baraniej Przełęczy) — Poślednia Turnia — Łomnica, *Czerwona Ławka — Ostry Szczyt (płd. śc. zejście na Białą Ławkę), *Rohatka (prz.) Goryczkowa Przełęcz (prz.), Tomanowa Przełęcz (prz.), Raxalpe (N.), Schneeberg (2-krotnie), Schlalnunger Keilbling (N.), Gasselhöhe (N.).

Smoluchowski Tadeusz dr., Lwów: Paraszka (N.), Popadia (I. N.) — Parenki (I. N.), Grofa (N.), Stohi (N.), Wysoki Wierch (N.), Raxalpe (N.), Plattkofel (prz.), Boe (prz.) — Cresta Strenta — Eisseespitze — Pisziadukofel, Pittl sas de mesdi — Kumedel (prz.) — Gran sas de mesdi.

Świerz Mieczysław, Kraków: Goryczkowa Przełęcz (N.), Koło — Walentkowa Przełęcz (prz.), Aiguille de l' M — Aiguille des Petits Charmoz, Aiguille des Grands Charmoz, Tête de Trélaporte, Grand Clocher de Planereuse, Petit Clocher de Planereuse, Col du Géant (prz), Dent du Géant; w Gorcach: Jaworzyna (I. N.)—Kudłoń (I. N.), Jasień (I. N.).

NOWE DROGI.

Walentkowa Przełęcz. Przejście z Doliny Pięciu Stawów Polskich do Doliny Walentkowej.

Walentkowa Przełęcz (2099 m) nie tworzy wyraźnej szczerby, lecz przedstawia się jako obszerne zagłębienie, którego najniższy punkt przytyka do pierwszej turniczki w grani poczynającej podnosić się ku Walentkowej. Za właściwą przełęcz uważać należy przestrzeń grzbietu pomiędzy ową turniczką a ostatnim, najniższym uskokiem grani, opadającej od Świnicy. W stronę Doliny Pięciu Stawów przełęcz zamknięta jest niezbyt wysokim, lecz bardzo stromym, trawkami przetykanym murem skalnym, ku Dol. Walentkowej natomiast schodzi mniej spadzistymi, trawiasto-skalistymi stokami.

Kwestya pierwszego przejścia przełęczy nie jest dostatecznie jasną. W tomie II Przewodnika J. Chmielowskiego znajduje się na str. 80 opis wyjścia na nią od Pięciu Stawów (chodzi mi tutaj o tę stronę, gdyż ona tylko mogła wątpliwości co do dostępności nasuwać), skonstruowany na podstawie danych, zawartych w artykule znanego taternika W. Lorenza, p. t. „Einige Übergänge über die Tatra“, zamieszczonym w Roczniku Węg. Tow. Karpackiego z r. 1879. Zanim opisem tym nieco obszerniej się zajmiemy, chciałbym wpierw opisać wyjście, dokonane przez podpisanego w towarzystwie p. K. Piotrowskiego dnia 23 czerwca 1913 r.

Opuściwszy ścieżkę wiodącą od płd. na Zawrat powyżej Zadniego Stawu, w miejscu, gdzie poczyna ona zakosami wspinać się ku przełęczy, zwracamy się w kierunku Walentkowej Przełęczy po rumowiskach i złomach ponad skalistą bulę, wysterczającą z piarżystych pól, zaścielających stopy Świnicy. Ponieważ osiągnięcie przełęczy we wzmiankowanym punkcie najniższym byłoby trudniejsze, kierujemy się bardziej w prawo, ku skałom spadającym mniej więcej od połowy szerokości przełęczy, gdzie rysuje się wyraźny zachodzik, podnoszący się ku górze poprzez ścianę, od ręki prawej ku lewej. Zachodzikiem, miejscami bardzo wązkim i nieco eksponowanym ok. 20 m. w lewo, zanim zatraci się on w skałach poza występem trawiastym (rodzajem kazalnicy). Stąd wprost w górę po bardzo

stromych, skalisto-trawiastych, niemiłych i eksponowanych stopniach, poczem, kierując się nieco w prawo, do otwartego na prawo, przykrego, krótkiego kominka (najtrudniejsze miejsce). Powyżej kominka skalistymi stopniami w lewo, zaraz na grań, którą osiągamy mniej więcej w połowie szerokości przełęczy (według podanego we wstępie określenia), w odległości kilkudziesięciu kroków od najniższego zagłębienia. Od ścieżki 1 godzina. Droga nieco trudna, dość eksponowana.

A teraz powróćmy do informacyi Lorenza. Obchodzący nas tutaj artykuł tegoż, to zebrane pokrótce opisy najważniejszych przełęczy tatrzańskich, od Liliowego po Przełęcz pod Kopą. Opisuje je Lorenz albo z własnego doświadczenia, albo też według wskazówek — powiedzmy z góry, często błędnych lub bardzo mętnych — zaczerpniętych od przewodników lub strzelców (jak sam we wstępie zaznacza). Przypuścić należy, że wyjście na Walentkową Przełęcz (zwaną u Lorenza — Świnnicką), skreślone jest na podstawie osobistego doświadczenia autora, tak przynajmniej domyślać się można z pewnej szczegółowości opisu tej dość zawikłanej drogi. Spróbujmy teraz postępować według tych rad. Lorenz każe iść nam tuż pod ścianami Świnicy i kierować się ku najwyższemu widocznemu wcięciu skalnemu. Wcięciem tym może być tylko przełączka, w której Walentkowa grań łączy się z masywem Świnicy (kilkadziesiąt metrów poniżej wierzchołka tejże). Wprawdzie wydostanie się na ową przełączkę okaże się niemożliwe, na lewo jednak otworzy się nam „półeczka z przewieszonemi skałami", która doprowadzi nas do najbliższego, niższego zacięcia w grani, położonego o 20 metrów powyżej najniższego zagłębienia Walentkowej Przełęczy.

Jakkolwiek w opisie tym mowa jest również o zachodziku, a grań osiąga się nie w najniższym punkcie — coby mogło za identycznością drogi naszej z opisaną przez Lorenza przemawiać — jednakowoż takiemu przypuszczeniu sprzeciwiają się następujące argumenty: a) Według Lorenza trzeba postępować tuż pod ścianami Świnicy w kierunku najwyższego zacięcia w grani Walentkowej, podczas gdy wejście w skały na naszej drodze znajduje się dosyć daleko od ściany Świnicy, a zacięcie najwyższe pozostaje na uboczu. b) Jakkolwiek zachodzik stanowi fragment naszej drogi, po nim jednak następuje dłuższa wspinaczka i to trudniejsza od zachodzika, o której u Lorenza nie mamy żadnej wzmianki. c) Według Lorenza osiąga się grań ok. 20 metrów wyżej ponad najniższem zagłębieniem przełęczy, przyczem Lorenz, mówiąc o: „tiefst sichtbare Rückenniederung zwischen Świnnica und Nad Kamenem" (= Walentkowa) — ma zapewne na myśli całe wogóle wgłębienie przełęczy, a nie tylko najniższy jej punkt pod turniczką w grani ciągnącej się ku Walentkowej. Miejsce naszego wyjścia znajduje się w obrębie samej przełęczy, zaledwie o 3—4 metry wyżej wzniesione ponad owym najniższym punktem, a oddalone od niego o kilkadziesiąt kroków. Tak więc stawiamy przypuszczenie, że Lorenz (lub jego informator) wydostał się na grań w wyższem zacięciu, wzniesionem ponad najniższem zagłębieniem grani o jakie 30 metrów i to już poza właściwą Walentkową Przełęczą.

Naturalnie skontrolowanie tego przypuszczenia w samym terenie pozostaje jeszcze kwestyą otwartą; dziś stwierdzić można, że opis Lorenza dla Walentkowej Przełęczy jest zupełnie bezwartościowy.

Nadmienić trzeba, że drogę, którą wydostaliśmy się na przełęcz, przeszedł jako pierwszy J. Lesiecki w jesieni 1910 r. (wiad. pryw.).

Zejście do Doliny Walentkowej nie nasuwa żadnych trudności.

Mieczysław Świerz.

Mała Buczynowa Turnia. II wyjście północną ścianą*), częściowo nowa droga. Dnia 30 sierpnia 1913 r., podpisany z p. Zygmuntem Kirschenbaumem i Henrykiem Lauerem.

Doszedłszy do połowy wysokości piarżystego żlebu, spadającego z Buczynowej Przełęczy, skręcamy w lewo przez stromy, zlodowaciały śnieg i minąwszy go, wstępujemy w skały mniej więcej w linii spadku dobrze od Pańszczycy widocznego, czarnego komina. Poprzez stromą ściankę zdążamy wprost w górę, na długość liny (30 m, kopczyk), poczem obniżamy się kilka metrów w lewo na dno komina. Nim dążymy prosto w górę ok. 40 m zapieraniem (bardzo skąpe stopnie dla nóg; komin ocieka wodą) i wydostajemy się na poziomą płasienkę. Stąd mamy do wyboru: wprost do góry ślizki komin, obrosły mchem i zdradliwemi kępkami trawy (którędy szli nasi poprzednicy), albo w lewo niepewną, kruchą ok. 15 metrową rysę. Wybieramy tę ostatnią i po bardzo kruchych i trudnych skałkach (u wejścia hak), wychodzimy na długą, piarżystą półkę. Doszedłszy nią do końca, zwracamy się w prawo i trawersujemy, pełzając poprzez bardzo eksponowaną, ku przepaści nachyloną płytę, długości 10 metrów, (brak chwytów; najtrudniejsze miejsce, w połowie płyty hak) — aż do występu skalnego tuż nad kominem. Zabiwszy tutaj hak, obniżamy się w prawo do komina, ominąwszy w ten sposób jego środkowe partye. Dążąc w lewo poprzez trawki i piarg, wydostajemy się piarżystym zachodem na niewielkie siodełko, skąd już widać tablicę szczytową. Stąd albo kruchą rynną wprost do góry, lub eksponowanem żebrem dalej na prawo położonem. Niem po stopniach wśród średnich trudności ok. 40 m w górę, na grań tuż obok tablicy szczytowej. Czas przejścia ok. 4 godz. można skrócić. Droga naogół bardzo trudna i eksponowana, skała krucha.

Tadeusz Prażmowski.

SPRAWY SEKCYI.

XII Zwyczajne Ogólne Zgromadzenie członków Sekcyi Turystycznej Tow. Tatrz. odbędzie się w Zakopanem dnia 15 sierpnia br., z następującym porządkiem dziennym: 1. Odczytanie protokołu z ostatniego Ogólnego Zgromadzenia. 2. Sprawozdanie Zarządu. 3. Sprawozdanie Komitetu budowy schroniska im. M. Karłowicza. 4. Preliminarz budżetu na r. 1914. 5. Wybór nowego Zarządu i Komisyi Kontrolującej. 6. Wnioski i interpelacye.

Zarząd Sekcyi Turystycznej przyjął na członka Sekcyi p. Maryana Kozłowskiego z Krakowa.

Wiadomości osobiste. Członek Zarządu Sekcyi Tur. p. Władysław Kulczyński otrzymał w Uniwersytecie Jagiellońskim stopień doktora wszech nauk lekarskich.

Z PIŚMIENNICTWA.

Zygmunt Klemensiewicz: Zasady taternictwa. Wydawnictw Sekcyi Turystycznej T. T. tom II. Lwów, 1913. Nakładem Sekcyi Turystycznej Towarzystwa Tatrzańskiego. Cena w oprawie 2 Kor. 80 hal.

Książka, której tytuł uwidoczniony został w nagłówku niniejszej recenzyi, przedstawia pierwszy w języku polskim — i dodajmy odrazu bez wszelkich zastrzeżeń — wprost znakomity, systematyczny i zupełny wykład zasad

*) Por. „Taternik“ 1911, str. 49.

tatrzańskiej turystyki wysokogórskiej. Leży przytem przed nami nie jakiś suchy poradnik, czy schematyczny katechizm, któryby w bezduszne paragrafy ujmował essencyę sztuki taternickiej — lecz przeciwnie mamy przed sobą jasno, żywo i barwnie napisane, a przedewszystkiem świetnie do potrzeb i warunków tatrzańskich przystosowane dziełko, które nietylko początkujący adept taternictwa, ale i niejedną kampanię poza sobą mający taternik z niesłabnącem zainteresowaniem, „jednym tchem“ czytać będzie. Pierwszego z nich wprowadza autor w dziedzinę techniki taternictwa — w sposób wyczerpujący, dokładny i szczegółowy, w formie budzącej szczere zajęcie, niepozbawionej niekiedy pewnej finezyi i humoru, a gdzieindziej znów szczypty soli attyckiej i sarkazmu, przemawiając doń językiem plastycznym, jędrnym i wcale nie w jakimś tonie mentorskim, drugiemu zaś przypomina o tem, których złych przyzwyczajeń ma się on pozbyć i w jakim kierunku doskonalić mu się jeszcze trzeba. Wzorowana z natury rzeczy — ale bynajmniej nie niewolniczo — na pokrewnych publikacyach angielskich, francuskich i niemieckich i to oczywiście na najlepszych z pośród nich, autor jej bowiem wybornie jest w odnośnej literaturze „fachowej“ oczytany — należy mimo to książka Klemensiewicza do kategoryi prac w całem tego słowa znaczeniu nawskróś samodzielnych i prawdziwie oryginalnie pomyślanych i dokonanych, co tembardziej na uwagę zasługuje, że jeśli zważymy, iż wszystkie niemal tego rodzaju podręczniki, jakie się dotąd w językach obcych ukazały, wyszły z pod pióra pierwszorzędnych alpinistów i że pewne, sportu górskiego dotyczące reguły i kanony, będące wynikiem długoletniego doświadczenia wielu tysięcy ludzi, są już dziś ostatecznie ugruntowane, — zdawaćby się mogło, że na temat, którego opracowaniem zajął się u nas Klemensiewicz, niewiele w gruncie rzeczy nowego da się powiedzieć. A jednak, — wymownym dowodem, że nie jest to przecież niemożliwe, służy omawiana właśnie książka! Zbudowana spoiście i wysoce logicznie, o podziale racyonalnym i przejrzystym, w najdrobniejszych nawet szczegółach starannie przetrawiona, pełna treści i myśli krytycznej, stanowi ona harmonijną i zamkniętą w sobie całość i obejmuje całokształt wiedzy taternickiej. Nie może być oczywiście zadaniem mojem poddawanie będącego w mowie dziełka zbyt daleko idącemu i drobiazgowemu rozbiorowi, pragnę dać jednak poniżej ogólny rzut oka na zakres poszczególnych jego podziałów, tudzież podnieść, co w nich specyalnego podkreślenia jest godne lub w czem się z autorem w zapatrywaniach rozmijam.

Rozdział I (pojęcie taternictwa, rozwój i treść) nosi charakter teoretyczny. Autor, który w ostatnich latach dziesięciu tak czynny i wszechstronny brał udział na wszystkich polach taternictwa, występuje tu jako pisarz całkiem skrystalizowany, z jasno ustalonym stosunkiem do alpinizmu. Szkicowo ujęty przez niego rys dziejów taternictwa mógłby zasługiwać na miano wzorowego, gdyby nie niefortunny frazes o upadku ruchu taternickiego w ostatnich dwu dziesiątkach lat ubiegłego stulecia (str. 7).

W rozdziale II-im omawia autor „przyrodzone warunki i rozwój taternika“, kładąc szczególny nacisk na sumienne i celowe przygotowywanie się do „zawodu“ taternickiego.

Rozdziały: III-ci („ubranie, uzbrojenie, żywność“) oraz IV-ty („zasady życia wycieczkowego“) znamionuje par excellence dojrzały sąd i wielka obfitość wybornych rad i wskazówek, praktycznych uwag i wogóle przeróżnych, nader pożytecznych i ważnych wiadomości. Krótko mówiąc, — zawierają owe rozdziały wszystko, o czem w danej dziedzinie każdy taternik dokładnie wiedzieć winien. A że reguły te i zasady są rezultatem nie jakichś kunsztownych, oderwanych rozważań lecz w pierwszym rzędzie własnego, i to wcale nieprzeciętnego doświadczenia autora — przebija to wyraźnie z każdego wiersza jego książki. Na jeden tylko szczegół pragnę zwrócić na tem miejscu uwagę, mianowicie na kwestyę wytrzymałości lin turystycznych. Otóż Klemensiewicz, opierając się zapewne na doświadczeniach, przedsięwziętych w swoim czasie w politechnice monachijskiej (patrz cennik firmy „H. Schwaiger“ w Monachium, str. 60 i 62; to samo po polsku w „Taterniku“ z r. 1912, str. 85) przyznaje pierwszeństwo pod względem wytrzymałości linom plecionym z włoskich konopi; tymczasem najnowsze badania, dokonane w r. 1911 w Szwajcarskiej Związkowej Stacyi Doświadczalnej przez znanego alpinistę inż.

Marcelego Kurz'a, potwierdzają wprawdzie w zupełności wyniki doświadczeń politechniki monachijskiej nad linami manillowemi maszynowo przędzonemi (w znaczeniu dla tychże ujemnem) i podnoszą wysoko zalety lin plecionych z włoskich konopi, — wykazują jednak, że bez porównania najwytrzymalszemi są oryginalne angielskie manillowe liny kręcone z czerwonym sznurkiem wewnątrz *) (patrz dwutygodnik „Alpina", organ Szwajcarskiego Klubu Alpejskiego, z r. 1912, Nr 2, str. 23 i 24).

Rozdział V traktuje o „trudnościach terenu i ich pokonywaniu". Skreślony on został bez zarzutu i świadczy o zupełnem opanowaniu przez autora przedmiotu jego wykładu. Doskonałe są w nim między innemi definicye różnych utworów skalnych (wyrazu jednak „zapól" nigdy od górali nie słyszałem; nie był on też w dotychczasowej literaturze używany; zresztą jest to termin całkiem zbyteczny!), jak również „trudności technicznych" „niebezpieczeństwa" i „ekspozycyi". Te ostatnie są, mojem zdaniem, u Klemensiewicza znacznie ściślejsze i trafniejsze, niż np. w znanem i cenionem dziełku Ittlinger'a. Wyśmienite jest także określenie pojęcia „drogi".— Poza tem bardzo słusznie czyni autor, nie rozwodząc się zbytnio nad sposobami przechodzenia zboczy lodowych, zaznaczając, że w Tatrach „mało jest pola do rozwinięcia tej techniki". Podaje jednak i w tej mierze najkompletniej wystarczające wskazówki. [Ale co powiedzą na to, jakoteż na (niepodlegającą, rzecz prosta, żadnej zgoła dyskusyi!) kwestyę całkowitego (i jedynie usprawiedliwionego) pominięcia przez Klemensiewicza techniki lodowcowej ci, którzy widzą w Tatrach lodowce (porówn. broszurę p. t. „Zakopane", wydaną przez Krajowy Związek Turystyczny, oraz czasopismo „Zakopane" z r. 1910, Nr. 14?...)]. Słownictwo specyalne — wszędzie bez wyjątku prawidłowe. (Może nauczy ono wreszcie niektórych naszych taterników używania na przyszłość wyrażenia „dziób czekana" zamiast „okrągłe ostrze rękojeści czekana" (sic!), „głownia" zamiast „rękojeść", „klucz" zamiast „splot" i t. d.; patrz „Taternik" z r. 1913, Nr. 2). Natomiast muszę zaoponować przeciwko twierdzeniu autora, jakoby przy pokonywaniu skalnych koni w dół musiało się zjeżdżać tyłem (str. 83), czyni się to bowiem dopiero wtedy, gdy dany koń bardzo stromo opada ku dołowi.

Rozdział VI poświęcony jest „używaniu liny". Mam wrażenie, że wypadł on może cokolwiek za lapidarnie. Nie wspomniano w nim np. o porządku wspinania się, gdy u jednej liny uwiązanych jest 3-ch, niejednakowej sprawności turystów. Nader dowcipnie wyraża się tu autor o owych rozlicznych „wynalazkach", dotyczących zjazdu na pojedyńczej linie.

Rozdział VII daje wierny i treściwy obraz „niebezpieczeństw Tatr". Niczego doń dodawać, ani też zeń ujmować niema potrzeby.

Rozdział VIII zajmuje się „planem wycieczki i jego przeprowadzeniem". Unikając rozwlekłości, zdołał w nim autor rozsiać wiele cennych uwag i praktycznzch spostrzeżeń. Ustęp wszakże, w którym straszy on turystów „kilkudniowem"(!) błąkaniem po lesie, jakie rzekomo „niejeden taternik i przewodnik ma w swej karyerze" (str. 126) — należy stanowczo do przesady!

Rozdział IX-ty ma za temat „wycieczki zimowe". Bogata praktyka autora jako narciarza, przeszłość — na którą z dumą może spoglądać — jako zimowego taternika i wreszcie wiedza zdobyta na wyprawach po lodowcach alpejskich, upoważniły go w pełnej mierze do tego, ażeby innych mógł teraz nauczać, przestrzegać i radami wspomagać. Gruntowny, szeroko traktowany i niejeden nowy szczegół, tudzież wartościową uwagę przynoszący, wykład o lawinach — niema sobie w tym zakresie w polskiej literaturze tatrzańskiej równych. Wogóle, — wszystkie zawarte w owym rozdziale reguły i wskazówki na najzupełniejsze zasługują zaufanie (sznurki lawinowe winny być wszakże — jak tego dowodzą nowsze doświadczenia *) — zabarwione nie na czerwono, lecz na zielono, ten ostatni bowiem kolor jest znacznie trwalszy).

Rozdział X podaje szczegółowe, dokładne i bardzo starannie zebrane informacye co do

*) Wyłączna ich sprzedaż na kontynent: Fritsch & C-ie, Zurych, Bahnhofstrasse 63 (wyrabia je firma John Buckingham w Londynie). Są to liny od dawien dawna już polecane swoim członkom przez londyński „Alpine Club".

*) Patrz „Mitteilungen des Deutschen und Österreichischen Alpenvereins" z r. 1911, Nr. 6, str. 77.

„organizacyi i literatury taternictwa". Z szeregu podręczników alpinizmu nie wymienił jednak autor następujących: 1) G. Brocherel: Alpinizmo (Medyolan, 1898); 2) G. Casella: L'alpinisme (Paryż, 1913); 3) L. Purtscheller: Zur Entwicklungsgeschichte des Alpinismus u. der alpinen Technik (w dziełku: „In Hochregionen", Berlin, 1895); 4) A. Steinitzer: Der Alpinismus (w dziele zbiorowem: „Das goldene Buch des Sports", Berlin i Stuttgart, 1910). Można było również wspomnieć o 10-ym rozdziale („Gefahren und Technik des Bergsteigens") książki A. Fischer'a: Hochgebirgswanderungen in den Alpen und im Kaukasus (Frauenfeld, 1913), tudzież o dziełku H. Baumgartner'a: Die Gefahren des Bergsteigens (Zurych, 1886).

Ponadto, zauważyłem tu kilka (niewielkich zresztą) błędów, a mianowicie: owe „ciekawe opisy pierwszych wypraw zimowych w Tatry", o których mówi Klemensiewicz na str. 161, znajdują się w Przewodniku Szontágh'a p. t. „Illustrister Führer in die Tatra-Bäder und die Hohe Tatra", którego 2-gie (niezmienione) wydanie ukazało się w Nowej Wsi Spiskiej (Igló) w r. 1888, nie zaś w przewodniku tegoż autora p. t. „Tatraführer", którego 2-gie (na nowo opracowane) wydanie wyszło w Budapeszcie w r. 1904; dziełko J. Meurer'a p. t. „Katechismus für Bergsteiger" wydane zostało nie w r. 1902, lecz w r. 1892; Książka Zsigmondy'ego p. t. „Die Gefahren der Alpen" ukazała się już w 5-em wydaniu (Wiedeń 1911). Jasną jest rzeczą, że drobne te usterki żadnej zgoła „krzywdy" całości nie wyrządzają; zaznaczyłem je jedynie tylko mimochodem, niejako z nałogu sprawozdawcy.

O napisanym z ogromnym temperamentem rozdziale XI-ym, zatytułowanym „Kultura i etyka taternictwa", wystarczy mi tyle tylko powiedzieć, że sądzę, iż wybornie-by się stało, gdyby tak nowicyusze, jak stojący u szczytu swej sławy, a nawet kończący już swą karyerę taternicy nauczyli się go od *A* do *Z* na pamięć.

Rozdział XII (ostatni) dotyczy „fotografii na usługach taternictwa". Odnośnie do niego muszę się nieco z autorem posprzeczać. Nie zgadzam się mianowicie na twierdzenie jego, że „ogniskowa do zdjęć górskich nie powinna być zadługa, najlepiej równa dłuższemu bokowi płyty" (str. 186). Według mnie do zdjęć tatrzańskich (ale nie górskich wogóle!) — ogniskowa winna być bezwarunkowo nie mniejsza, niż przekątnia płyty (co innego n. p. w Dolomitach, gdzie i Kuhfahl radzi dla formatu 9×12 ogniskową równą 11 lub 12 cm.). Następnie, nie przecząc oczywiście, że najlepszym materyałem są bezwątpienia płyty, nie mogę się oprzeć pragnieniu stanięcia w obronie błon zwijanych, zaznaczając, że: 1) wyrównanie różnic w naświetleniu da się przy używaniu ich całkiem tak samo osiągnąć jak przy płytach — zapomocą wywoływania przewlekłego; 2) że wbrew ostrzeżeniu Klemensiewicza, który przecinania zdjęć (filmowych) przed wywoływaniem „nie radziłby nikomu" — jest to mimo wszystko — o ile z własnej praktyki wnosić mi wolno — jedyny racyonalny i zgoła nie „niebezpieczny" sposób wywoływania błon zwijanych; 3) że w dobrych aparatach leżą błony zwijane przy odpowiedniem postępowaniu z niemi jaknajdokładniej w płaszczyźnie obrazu i że 4) wyrabiane są już oddawna z emulsyami w wysokim stopniu ortochromatycznemi (np. Lumièr'a „Planose", Color, Viridin, Perutz'a „zielona etykieta", Agfa itd.). Dalej — nie rozumiem czemu wychwala autor adaptery z papierowemi kasetami na płyty i płaskie błony? Zewsząd słychać przecież ciągle na nie narzekania i większość podręczników fotograficznych wyraża się o nich w sensie wręcz nieprzychylnym! Wreszcie w odsyłaczu na str. 183, w wykazie specyalnej górskiej literatury fotograficznej zauważyłem brak doskonałej książeczki Dra G. Kuhfahl'a p. t. „Mit der Camera im Gebirge" [Drezno, nakład Twa „Ica" (Ica-Miniatur-Bibliotek), cena 30 fenigów]. Podręczniki Vogel'a i David'a istniały w r. 1913 w znacznie nowszych wydaniach, niż to podaje Klemensiewicz.

Reasumując swój sąd o książce Klemensiewicza, wyrażam mocne przekonanie, że posiada ona wszystkie dane, aby zająć jedno z absolutnie naczelnych miejsc w naszej literaturze taternickiej. Nie ustępuje — mojem zdaniem — ani na jotę dziełkom Ittlinger'a i Nieberl'a, a dla tatrzańskiego turysty ma bezwarunkowo o wiele większą i trwalszą od nich wartość. Książkę zdobi znaczna ilość, po części nader instruktywnych i rzeczowo wielce udatnych (prócz czekanów na str. 74), a wogóle bardzo sympatyczne wra-

żenie wywierających, na swojskich motywach opartych, pełnych wykwintnej prostoty i smaku artystycznego rysunków p. Józefa Rosenbuscha. Przybrana została w szatę zewnętrzną, którą śmiało nazwać można wytworną, zarówno bowiem pod względem staranności typograficznej, jak i wykonania ilustracyi, tudzież wyboru papieru, okładki i td. — utrzymana jest na wysokim poziomie. Korekta naogół bardzo troskliwa (zauważyłem tylko gdzieniegdzie niezupełnie prawidłowe przecinkowanie !).

Słowem — można i należy jaknajszczerzej powinszować autorowi wyników, do jakich doprowadziła go sumienna, skupiona i poważna, na każdym kroku gorącą i bezinteresowną chęcią służenia sprawom polskiego taternictwa ożywiona praca, Zarządowi zaś Sekcyi Turystycznej Towarzystwa Tatrzańskiego wyrazić prawdziwą wdzięczność za podjęcie się tego, tak potrzebnego i pożytecznego wydawnictwa, oraz wielką pieczołowitość, z jaką nad doprowadzeniem go do skutku czuwano.

Janusz Chmielowski.

Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego. Rok 1914. W Pamiętniku tegorocznym, skromniejszym rozmiarami od swego poprzednika z roku jubileuszowego, znajdujemy trzy artykuły turystyczne: Dra M. Orłowicza rzecz o „Bliźnicy i Świdowcu“, dra W. Goetla fragment p. t. „W Dolinie Mięguszowieckiej“, oraz M. Zaruskiego „Mięguszowiecki Szczyt nad Czarnym (2405 m) północną ścianą w zimie“. Ponadto w części turystyczny charakter ma K. Sosnowskiego „Pogląd na Beskid Zachodni“, jednak jako przedruk ze wstępu do Przewodnika tego autora po Beskidzie Zachodnim omówiony będzie osobno w recenzyi Przewodnika.

Rozprawka dra Orłowicza jest już ze względu, iż zajmuje się częścią Karpat w żadnym jeszcze Przewodniku nie opisaną, cenną i pożądaną. Żałować tylko wypada, że nie dodano do niej łatwo bardzo zrobić się dającej, mapki schematycznej, bez której czytanie opisów dróg na Bliźnicę, jest równie nużące, jak bez wartości, któż bowiem z czytelników Pamiętnika jest w posiadaniu odnośnych arkuszy mapy sztabowej. Błędem artykułu jest systematyczne przeciwstawianie Bliźnicy Świdowcowi (autor mówi nawet wprost o przełęczy, oddzielającej Świdowiec od Bliźnicy), przeciwstawianie zupełnie niesłuszne, bo Bliźnica jest tylko najwyższym wierzchołkiem Świdowca, tak samo, jak Gierlach najwyższym szczytem Tatr. Artykuł szwankuje również, o ile chodzi o omówienie Świdowca jako terenu wycieczek zimowych i narciarskich, pod którym to względem znajdują się tam rzeczy nadzwyczajne. Odnośne ustępy w omawianej rozprawce są zbyt lakoniczne, nieścisłe i widać, że nie pochodzą z osobistych obserwacyi autora. Przedewszystkiem fałszywe są informacye o niebezpieczeństwie nawiesów śnieżnych; występują one wprawdzie na całej grani w pełnej okazałości i w olbrzymich rozmiarach, grzbiet sam jest jednak wszędzie tak szeroki, że przejście go w którymkolwiek kierunku nie naraża na żadne niebezpieczeństwo. — Ilustracye dodane do rozprawki wypadły bardzo słabo, niżej krytyki zdjęcie na stronie 50. Jest to przedewszystkiem wina drukarni, która odbija klisze w tekscie stanowczo za mało starannie. Znakomity jest natomiast obrazek J. Konopackiego „Bliźnica w zimie“, reprodukowany bez zarzutu na osobnej wkładce.

Walerego Goetla artykuł „W Dolinie Mięguszowieckiej“ uderza pełnią młodzieńczego zapału i sympatycznem odczuciem i podkreśleniem „nerwu“ taternickiego. Trochę w nim może za wiele sentymentu w traktowaniu własnych uczuć i za wiele uprzedzenia dla „pospólstwa“ z dolin, u którego wrzaski i wiwaty niekoniecznie są równoznaczne z brakiem serca dla majestatu gór.

P. Maryusz Zaruski już ósmy rok zasila każdy tom Pamiętnika conajmniej jednym artykułem zimowym. Sądzimy, że pora byłaby zmienić wreszcie temat, bo ostatni artykuł jego o Mięguszowieckim Szczycie nad Czarnym jest mało interesujący i bezbarwny.

Reszta artykułów treści naukowej uchyla się z pod fachowego omówienia w naszem piśmie. Zupełnie przygodnie tylko — odnośnie do rozprawy prof. J. Rozwadowskiego „o nazwach geograficznych Podhala“ zauważyć należy, że stwierdzone tam (na str. 6) pochodzenie nazwy Koperszady od *Kupferschächte*, zostało już przed dwudziestu laty z przekonywującą trafnością zakwestyonowane przez Dra Stan. Eljasza Radzikow-

skiego („Tatry Bielskie“ Kraków 1894). — Również w odniesieniu do końcowego ustępu ciekawych „Uwag“ prof. E. Romera o stacyi meteorologicznej na Hali Gąsienicowej — nasuwa nam się uwaga, że zawarta tam polemika z kotą 1520 m. dla Hali Gąsienicowej jest o tyle niewłaściwa, że takiej koty wojskowej niema. Mapy sztabowe podają tylko kotę 1508 m. dla przejścia potoku Suchej Wody na ścieżce do Czarnego Stawu. Dodaję dla uzupełnienia, że trafność tej koty stwierdził wielokrotnie — przy pomocy aneroidu — zarówno J. Chmielowski, jak i podpisany (Taternik r. 1911 str. 69).

Strona ilustracyjna Pamiętnika przedstawia się — pomijając przeważnie słabe w tekscie reprodukcye — doskonale. Obrazki odbite na osobnych kartonach wypadły nadzwyczajnie, a jest wśród nich kilka — zwłaszcza widoki zimowe Dra W. Pawlicy — którychby się najwytworniejsza publikacya alpejska nie powstydziła.

Kończę pod adresem Wydziału T. T. refrenem w rodzaju *ceterum censeo*, iż stanowczo należy przeprowadzić rozdział literackiej części Pamiętnika od sprawozdawczej — życzenie w piśmie tem od lat wytrwale powtarzane. *Kordys.*

Die Hohe Tatra von **Dr. A. Otto.** Neunte, neu bearbeitete Auflage. Berlin 1914.

Mamy przed sobą nowe, dziewiąte wydanie przewodnika dr. Otto. Minęły już wprawdzie bezpowrotnie czasy, w których książka ta stanowiła nieodłączne vademecum taternika, jednakże tradycyjny szacunek dla wydawnictwa, które odegrało pewną rolę w dziejach polskiego taternictwa, nakazuje poświęcić jego omówieniu w piśmie naszem nieco więcej miejsca, niżby to obecne znaczenie książki uzasadniało.

W przeciwieństwie do dwóch ostatnich wydań (por. Taternik 1909 str. 67 i 1911 str. 22), które roiły się od błędów i niedomagań, o ile chodzi o wysoko-turystyczną stronę Przewodnika, omawiane wydanie zostało starannie poprawione i uzupełnione. Jest to — jak świadczy przedmowa — przedewszystkiem zasługa dr. Gy. Komarnickiego, który przeprowadził w tym względzie rzeczową korektę dawnego przewodnika. Odbiło się to na książce nadzwyczaj korzystnie. To fachowe współpracownictwo przeprowadzone zostało bowiem umiejętnie i z uznania godnym taktem człowieka, który roli swej nie miał zupełnie ochoty wyzyskiwać — jak to niegdyś Englisch czynił — do możliwie skrupulatnego opublikowania w przewodniku swych własnych taternickich zdobyczy. Dr. Komarnicki — przeciwnie — stanął na stanowisku, że książka przeznaczona jest dla popularnie pojętej turystyki i tylko w najszczuplejszych granicach ma służyć jako pierwsza informacya dla przybywającego do Tatr alpinisty. Dlatego ilość nowych opisów dróg górskich jest w stosunku do dokonanych w ostatnich latach — niemal równą zeru. Po troskliwem porównaniu książki z poprzedniemi wydaniami przekonujemy się, że wzbogacono ją tylko opisaniem drogi na Krywań od północy, lakonicznym opisem przejścia południowej ściany Ostrego i wyjścia na Jaworowy od południa (I. przejście: J. Barcza i T. Szaifka 1910), którą to ostatnią drogę poleca autor — niewiadomo czy słusznie — jako jedynie wskazaną, pomijając milczeniem wszystkie inne na ten szczyt wiodące. Pozatem znajdujemy znacznie zmienione i stosownie poprawione opisy dróg: zachodnią ścianą Małej Kończystej, trawersowania Ganku, zwykłego wyjścia na Żłobisty, Cubrynę i Szczyt Czarny. Przy Solisku podano właściwy porządek szczytów w jego grani występujących. Ponadto podnieść należy osobny ustęp ze zwięzłym lecz bardzo dobrym opisem Orlej Perci.

Z wyliczenia tego, mniej więcej kompletnego, widzimy, że treść wysoko-turystyczna Przewodnika wzbogacona została zupełnie nieznacznie. Główna tedy zasługa d-ra Komarnickiego leży raczej w wykreśleniu i usunięciu tych rozlicznych, po części fałszywych, po części przestarzałych informacyi dawnych wydań, które tak fatalnie raziły świadomego rzeczy czytelnika, a książce samej zjednywały coraz gorszą opinię. Skreślono ich cały szereg, niekiedy nawet całe opisy (np. Rumanowy Szczyt i Przełęcz, Zmarzły, Orla Baszta), przyczem jednak historycznie ważne daty zostały nietylko zachowane, ale i starannie i z dużem znawstwem uzupełnione. — Pewnym zmianom podpadły również uwagi wstępne, zwłaszcza w części podającej klasyfikacyę wycieczek tatrzańskich ze względu na trudności techniczne odnośnych dróg. Podano tam obok dawnej skali „Ottonowskiej“ (odpowiednio poprawionej), osobną w myśl

przyjętych w kołach taternickich zasad. Ta druga zgodna jest z wynikami, do jakich doszła dyskusya na ten temat, prowadzona przed czterema laty na łamach tego pisma, a tem samem dowodzi słuszności przesłanek wówczas naprowadzonych. W skali tej umieszczone są jako „nadzwyczaj trudne“: Szarpane Turnie od pd., Ganek półn. ścianą (Galerya), Zamarła Turnia pd. ściana, Mały Lodowy pd. ściana, Kopa Lodowa pd. ściana, Mały Kiezmarski pn. ściana.

Podkreślić należy dalej jako objaw bardzo dodatni, próbę oczyszczenia nomenklatury tatrzańskiej niemieckiej od bezliku owych nazw, o których powiedział kiedyś dr. St. Radzikowski, że tchną atmosferą ogródkową, czy kawiarni z obsługą żeńską, a których to nazw rozpowszechnienie było wątpliwą zasługą właśnie d-ra Otto. Nazw w rodzaju „Amy“ i „Margaretenturmów“ wyrugowano z kilkanaście i jakkolwiek względy na zadomowienie się niektórych, a może i kurtuazyi — zachowały ich jeszcze pewną ilość, mimo to należy wyrazić zadowolenie, że purytańskie zasady, przyjęte u nas w nomenklaturze tatrzańskiej od początku, znajdują obecnie uznanie i u Niemców.

Z powyższego widzimy, że fizygnomia „wysoko-turystyczna“ Przewodnika uległa widocznej zmianie na korzyść. Nie trzeba jednak sądzić, aby wszystkie te podniesione właśnie dobre strony książki, zmieniły radykalnie jej dotychczasowy charakter i przeobraziły ją na publikacyę o poważnem dla taternictwa znaczeniu. Powtarzamy, że zyskała ona właściwie tylko przez usunięcie rażących błędów i pomyłek. Uzupełnienia taternikowi nic nowego nie przynoszą *), a przeprowadzenie ich konsekwencyą, ścisłością i unikaniem sprzeczności nie stoi na wyżynie polskich publikacyi taternickich.

Strona informacyjna Przewodnika po miejscowościach podtatrzańskich i liniach dojazdowych, została przez autora starannie uzupełniona i nowymi szczegółami wzbogacona. Podnieść należy przedewszystkiem nowy osobny rozdział o Niżnich Tatrach, obejmujący 18 stron druku, opisujący góry te wcale szczegółowo; następnie osobny ustęp o miejscowościach podtatrzańskich w zimie i o sportach zimowych. Bardzo korzystnie przedstawia się również strona kartograficzna Przewodnika. Dodano bowiem trzy małe mapki w tekscie, dużą mapkę (1 : 300.000) Niżnich Tatr, przedewszystkiem jednak mapę Tatr Wysokich 1 : 50.000, wykonaną w manierze analogicznej do mapy J. Chmielowskiego, a uderzającą bardzo poprawną (z nielicznymi wyjątkami) i szczegółową nomenklaturą.

Mapka ta jest dla Przewodnika d-ra Otto cenną nowością, a dodanie jej łagodzi karykaturalność dawnej mapy szczegółowej w skali 1 : 100.000 z płóciennej kieszonki na końcu książki, która dziś już pod skromniejszą nazwą „mapy przeglądowej“ służyć ma dla oryentacyi w okolicach podtatrzańskich, kartą główną nie objętych. — *rk.*

*) Nową jedynie jest wzmianka o pierwszem przejściu (częściowem) rynny śnieżnej, spadającej ze Staroleśnej do Staroleśnej Doliny (Wiktor Starke z Csizakiem 1901). Ponadto zupełnie nie jasne trzy wiersze na str. 116 o rzekomo najkrótszej drodze na Kopę Lodową, znalezionej przez A Znamięckiego (kiedy ?).

Dr. Mieczysław Orłowicz: Wschodnie Karpaty. (Przewodnik ilustrowany). Z 56 ilustracyami w tekście. Lwów 1914.

Jest to odbitka z przygotowanego przez autora „Przewodnika po Galicyi“, wydana przez Lwowski Oddział Kraj. Związku Turystycznego celem zwrócenia uwagi ogółu na najwspanialszą po Tatrach, a tak dotąd mało znaną część naszych Karpat. Autor, który w ostatnich latach dostarczył nam kilku monograficznych opracowań poszczególnych grup tej części, podaje w niniejszym przewodniczku szereg zwięzłych, sumiennych informacyi i wskazówek dotyczących miejscowości wschodnio-karpackich i ważniejszych wycieczek w te okolice. Naturalnie tak ogromny obszar górski, objęty 77 stronicami przewodnika, mógł być traktowany jedynie jaknajogólniej, toteż broszurka nie zastępuje nam właściwego przewodnika (ma on ukazać się nakładem Tow. Tatrz.), na razie jednak znajdziemy tutaj dostateczny materyał do zoryentowania się w tem pasmie i wytworzenia ogólnego poglądu na Karpaty Wschodnie i ich charakter pod względem turystycznym. Broszurę ilustruje szereg interesujących i dobrze zreprodukowanych zdjęć, które podnoszą znacznie wartość broszury. *m.*

Drukarnia „Sztuka", Kraków, Sobieskiego 16.